

Tajemnicze oczy.

(Powieść na ile notatek amerykańskich dedektywów).

12

(Dokończenie).

W dwa dni po tem znowu tak się wydało, że w mej obecności przyniesiono jej pakiet, z którego wyjęła ciemny płaszcz z bardzo skromnego materiału. Na co jej taki płaszcz był potrzebny, tego mi nie mówiła, ale wnet sama dowiedziałam się o tem. Wiadomo, że Laura nie była na weselu Arteveldta, wymówiwszy się chorobą. Co się stało owej nieszczęsnej weselnej nocy, tego nie potrzebuję powtarzać, panowie wiecie to lepiej odemnie.

Natychmiast powzięłam podejrzenie, że Laura zabiła Arteveldta. Poszłam do niej, aby jej opowiedzieć o tem, co się stało i ku największemu zdumieniu spostrzegłam, że wiadomość o śmierci Arteveldta wpadła ją w rozpacz prawdziwą. Nie mogłam tego zrozumieć. Gdyśmy się w ośm dni potem w wynajętej willi urządzali, rozpatrywałam się bardzo dokładnie po całym mieszkaniu, by uzupełnić uporządkowanie i weszłam na ów szklany ganek, który łączy obie wille.

Zdziwiło mnie bardzo, skąd na podłodze były ślady stearyny, pozostałe z kapiącej świecy, a jeszcze bardziej zastanowił mnie oddarty kawałek czarnej materji, tkwiący na gwoździu sterzącym w progu, a jeszcze dziwniejsze, że drzwi z ganku do mieszkania Arteveldta wiodące, nie były na klucz zamknięte. Przypatrzywszy się dokładnie oddartemu kawałkowi tkaniny, poznałam, że pochodzi z owego płaszcza, który Laurze w mej obecności przyniesiono.

* * *

Wszyscy czterej udali się z więzienia do kancelarii dra Hale.

— Nadmienil mi pan, panie Stuart — rzekł dr. Hale, że Laura Durand popełniła w Anglii jakąś zbrodnię i że może być władzom angielskim oddana. Czy mogę pana zapytać, jaka to zbrodnia?

— Od trzech lat szuka mój przyjaciel Jocelyn Elizo Schwarz, która w Londynie zamordowała swojego męża i siostrę. Ta Eliza Schwarz jest panna Durand.

Wydaje się to wprost bajeczne — nadmienil dr. Hale. — Jakż kara czeka ją za to w Anglii?

— Kara śmierci — rzekł Ferrars.

— A więc imieniem nieszczęśliwej matki zamordowanego wyrzekam się sądowego ścigania morderczyni Arteveldta.

— A więc sprawa załatwiona — rzekł Stuart. — Teraz nie tracmy czasu.

* * *

Laura zamyśliła się bardzo. Wspaniały buciar wydal jej się teraz nie tak pięknym, jak zawsze; nawet z siebie samej nie była zadowolona, ona, która z takim upodobaniem zwykła się podziwiać w zwierciadłach. Rozdrażnienie coraz silniej wdziarało jej się w nerwy i wstrząsało nimi.

Była tak bliską celu; uśmiechały się do niej miliony, a tu nagle zjawia się jakiś kuzynek, na którego ma spaść całe dziedzictwo Durandów, a ona miałaby poprzestać na jakimś tam małym kapitałiku? Nie, to niemożliwe. Wszakże tego kuzynka możnaby usunąć. Któżby się tego domyślił?...

Przecież by jej o to nie posadzono. Udało się z mężem i jego siostrą, udało się zabić i to, co się stało niechcący z Arteveldtem, czemużby i z tem się nie powiodło? Kuzyneczek nie zamyka się nigdy w swoim pokoju, więc mógł się wśliznąć zbrodniarz i bez przeszkody wejść do otwartego pokoju. Gdyby tak przyłożył chustkę z chloroformem do twarzy?...

Zapukano do drzwi; prawie równocześnie je otwarto. Na progu ukazał się Durand, a za nim dr. Hale, Stuart, Jocelyn i Ferrars.

Na ich widok Laura zerwała się przerażona, a w tej chwili przystąpił do niej Jocelyn i położywszy jej rękę na ramieniu, rzekł poważnie, doniośle:

— Elizo Schwarz jesteś moim więźniem w imieniu prawa.

Trupia bladość okryła twarz Laury, zadrżała, oczyma błędnie spoglądała dokoła.

Na chwilę zatrzymał się jej wzrok na Durandzie, jakby w nim szukała ocalenia. Ale on spojrzął na nią surowo i rzekł z lodowatym spokojem.

Nie spodziewaj się odemnie niczego. Chciałaś otruć tę złą kobietę, która cię za córkę przyjęła. Niechaj ci prawo wymierzy sprawiedliwość!

Laura załamała ręce, opuściła głowę i stała milcząca, bezradna.

Jocelyn przerwał milczenie.

— Elizo Schwarz! Zamordowałaś swojego męża i jego siostrę i za to będziesz sądzona w Anglii. Obciążają cię inne zbrodnie. Okradłaś pana Duranda, który cię adoptował, a uczyniłaś to dla tego, aby przekupić Nelly Brown; usiłowałaś pozbawić życia żonę pana Duranda, a wreszcie zamordowałaś Franka Arteveldta.

— Boże! Boże! Ja zamordowałam Arteveldta? zawołała Laura z przerażeniem i boleścią straszną.

— Temu zaprzeczyć nie zdołasz. Dowodzą twej zbrodni listy i owe przedmioty, które ukrywałaś pani w torebce podróżnej, a potem chciałaś je z torebką wrzucić do wody. Rzuciłaś torebkę, ale bez kosztowności, skradzionych w Londynie, bez płaszcza, w którym mordę się dopuściłaś, bez sztyletu i bez kluczy, bo to wszystko wyjął z torby pan Stuart, a pani tego nie przeczuwałaś.

— Tych zbrodni wyprzeć się pani nie zdołasz — rzekł Stuart — ale wyznaj wszystko szczerze, abyśmy mogli jakieś takie znaleźć okoliczności łagodzące.

Laura spojrzała na Stuarda dziwnym wzrokiem. Zdawało się, że patrzy na niego z kipiącą nienawiścią a zarazem z podziwem.

Gdyby tak można było zajrzeć na dno jej duszy, z pewnością byłoby się znalazło tam ubolewanie, że kuzynkowi nie przyłożyła wcześniej do ust chustki z chloroformem. Teraz dopiero zrozumiała, kto był owym kuzynkiem. Wyprostowała się, zebrawszy wrodzoną sobie energią, podniosła głowę do góry i spokojnie mówiła zaczęła:

— Jestem zgubiona. Czyście ze mną, co się wam podoba. Jestem Eliza Schwarz. A teraz dowiedzcie się, czem byłam przedtem.

Gdy byłam niemowlęciem, porwali mnie cyganie. Nie znając rodziców, ani nazwiska, wyrosłam wśród cygańskiej bandy i z nią wiodłam życie koczownicze. Czułam się bardzo nieszczęśliwą; zazdrość tam ludziom spokojnego życia i stałego mieszkania; pragnęłam wyrwać się od tych ludzi, do których nietylko przywiązać się, ale nawet przylgnąć nie mogłam.

Zdarzyło się pewnego razu, żeśmy rozbili namioty w pobliżu wspaniałego pałacu na Węgrzech. Liczne towarzystwo wyszło z pałacu ku naszemu obozowi, aby zabawić się cygańskim wróżbiarstwem.

W gronie owych osób była bogata pani z Francji, która przybyła w odwiedziny do krewnych na Węgry. Zobaczywszy mnie, z dziwnym zainteresowaniem wpatrywała się we mnie, a potem kupiła, zapłaciwszy dość znaczną sumę cyganom. Pojechałam z nią do Paryża. Pani moja kazała mi kształcić, zajmowała się mną po macierzyńsku. Zaczęłam nabierać szlachetniejszych popędów ku dobremu, z chciwością czytywałam książki, zajmowałam się muzyką; budzić się zaczęło we mnie pragnienie uczuć religijnych, wstępowałam na drogę, po której się zdąży do stanowiska uczciwej kobiety. Na nieszczęście trwało to tylko przez trzy lata.

— Ta zła osoba, która mnie po macierzyńsku kochała i do której uczuwałam jakieś dziwne dziecięce przywiązanie, umarła nagle.

Majątek zabrała jej rodzina, a mnie ciarowano kilkaset franków i oddalono. Młoda, nieodświadczone, znalazłam się bez przyjaciół, bez opieki na paryskim bruku, nie wiedząc, co począć.

Padłam wnet jak wiele innych, ofiarą wyuzdania wielkiego miasta. Zwabiono mnie podstępnie do domu rozpusty. Zrazu czułam nieszczęśliwą, chciałam się życia pozbawić, ale wnet porwana wirami namiętności, zatraciłam wszystko, co pod opieką zacnej opiekunki kielkować we mnie zaczęło i stałam się rokosznicą z upodobania. Owładnęło mną pragnienie zbytku. Pożerała mnie żądza złota, strojów i życia wystawnego. Powodziło mi się bardzo dobrze. Zostałam zupełnie samodzielną, urządziłam sobie wykwintne mieszkanie i w niem

zbierałam złoto i hołdy milionerów. Tu poznałam mnie stary bankier z Londynu, Schwartz.

Zakochał się we mnie, szalał ze mną i zapragnął się ożenić. Spodziewam się, że, zostawszy żoną milionera będę mogła w pełni używać przyjemności życia, więc zgodziłam się na małżeństwo i zostałam Eliza Schwartz. Siostra mego męża nienawidziła mnie, podejrzynała, a mąż okazał się takim skąpcem, że mi odmawiał upragnionych strojów, żałował nawet takich przyjemności jak teatru, koncerty. Prześladował mnie szkaradną zazdrością; pozostawiałam wciąż pod strażą jego siostry. On chciał, abym była taką kobietą, jakimi bywają zwykle żony poważnych ludzi, oddaną tylko domowi i mężowi. Dla mnie było to niewola, więzieniem. Przez dwa lata cierpiałam, zmuszając się do wyrwania, aż wreszcie zabrakło mi cierpliwości i postanowiłam uciec. Ale uciec z gołymi rękami i skazać się na nędzę i na niepewność życia nie mogłam.

Pewnej nocy wyjęłam mężowi z pod poduszki klucze od kasy; już miałam się z niemi oddać, gdy nagle budzi się i schwyta mnie silnie za rękę. Widząc, że mogę być zgubioną, chwyciłam drugą ręką za sztylet i wbiłam mu w skroń tak, że padł martwy bez jęku. Wychodziłam z sypialnego pokoju i zdążam ku pracowni męża, gdzie była kasa. Otwieram, sięgam ręką do wnętrza, a w tej chwili staje przedemną siostra mego męża, ze świecą w ręce i mierzy mnie nienawistnym, pogardliwym spojrzeniem. W sekundzie padła trupem, uderzona w skroń, zabarwionym krwią brata sztyletem.

Zabiłam ich dwoje, okradłam i uciekłam do Paryża. Czarne włosy zabarwiłam sztucznie na jasne, wiodłam życie skromne w ukryciu, marząc o tem, aby pokochać i przez miłość stać się uczciwą kobietą. Poznałam w Paryżu Arteveldta; ukochałam go całą połączoną pierwszą, nieznane dotąd miłości. Zdawało mi się, że i on pokochał mnie również gorąco. Wiedząc, że bogaty, że należał do najpierwszych sfer towarzyskich, lękałam się bardzo, czy zechce się ożenić ze mną. Z tego niepokoju, z tyłci obaw uwolnił mnie szczęśliwy przypadek. W Paryżu bawili państwo Durandowie, przybywszy tu z Ameryki, aby podróżą ukoić ciężki żal po stracie jedynej córki. Zdarzyło się, że siedziałam obok nich na koncercie. Uważałam, że pani Durand z jakimś żdziwieniem i rozculeniem na mnie spoglądała, dosłyszałam nawet, jak szepnęła mężowi:

„Jakżeż podobna do naszej Laury”. W kilka dni potem weszłam do jednego magazynów, po jakiś sprawunek i zobaczyłam w nim panią Durand. Ona mnie także spostrzegła i spojrzała z taką kłiwnością, że od razu wpadło mi na myśl, aby zawiązać rozmowę. Sposobność zaraz się nastroczyła, bo pani Durand mówiła słabo po francusku, a w magazynie nie było o tej chwili tych osób z personalu, któreby po angielsku rozmówić się mogły. Zbliżyłam się do pani Durand uprzejmie i prosiłam o pozwolenie służenia jej za tłumacza. Zgodziła się na to nawet z radością, widocznie zadowolona, że ze mną rozmawiać może. Po załatwieniu sprawunków pani Durand prosiła mnie, abym jej wskazała jeszcze kilka innych magazynów, w których coś kupić zamierzała, a wreszcie abym ją odprowadziła do domu. Tym sposobem zawarłam znajomość z tymi ludźmi, opowiadałam im bardzo kwieciście o różnych zmyślonych tragedjach mego sierociego żywota, ujęłam ich sobie tak dalece, że mnie adoptowali. Niedługo potem wyjechalismy do New Yorku, a tym samym statkiem popłynął też Arteveldt. Durandowie znali go bardzo dobrze, więc w ciągu całej podróży był naszym nieodstępnym towarzyszem. Teraz już nie wątpiam, że się ze mną ożeni, skoro zostałam dziedziczką milionerów.

Dowieziawszy się, że Arteveldt ma się ze mną z Leonorą Armyn, usiłowałam go od tego powstrzymać wszelkimi sposobami; udałam się też do jego narzeczonej, a ta mi oświadczyła, że ją tylko śmierć od narzeczonego rozdzieli. Postanowiłam zemścić się skrycie. Nie będąc na weselu, nie wiedziałam, co się tam stało. Gdy światła już pogasły i cisza w willi nastąpiła, weszłam przez sąsiednią, pustą wile, do której miałam dorobione klucze, otulona ciemnym płaszczem i dostałam się oszklonym gankiem do mieszkania Arteveldta, Nadsłuchuję: cisza zupełna, a więc śpią. Zgasiałam świecę i po ciemku wchodziłam do sypialni. Przy łóżku dostrzegłam na szafeczce biały wieniec.